

000607

List I

O wolności i potrzebie korzystania z niej • Uwagi nad mękami potępieńców.

Po siedmiu latach przeznaczenie, które nami wszystkimi rządzi, zwróciło się do mnie i rzekło:

– Nie potrzebujesz pracować. Wolno ci bawić się. Zdejmuję ci z karku jarzmo na cały długi rok. Co uczynisz z wolnością, którą cię obdarzam?

Zacząłem rozmyślać. Zrazu zamierzałem zreformować świat, ale okazało się, że na to potrzeba by więcej niż rok i że być może świat nie byłby mi za to wdzięczny. I wtedy objawił mi się ktoś, kogo nie cierpię: wieczny włóczęga, obieżyświat. Siedząc na moim fotelu, zaczął krytykować Indie ze swobodą człowieka podróżującego od pięciu tygodni pod opieką Cooka¹, przedsiębiorcy podróży. Przybywał on prosto z Anglii, a delikatność i dobre wychowanie utopił po drodze w Kanale Sueskim.

– Upominam pana – mówił – że wy tu jesteście za blisko, ażebyście mogli sądzić bezstronnie. Za blisko... Gdy tymczasem ja...

1 Thomas Cook (1808-1892) – brytyjski przedsiębiorca, który położył podwaliny pod masową turystykę. Założył pierwsze na świecie biuro turystyczne, od 1871 roku prowadził je razem z synem Johnem pod nazwą Thomas Cook and Son. Firma ogłosiła upadłość w 2019 roku, co spowodowało rozpoczęcie największej akcji repatriacyjnej w czasie pokoju w historii Wielkiej Brytanii – objęła ona 150 tys. turystów. We wrześniu 2024 markę Thomas Cook kupiła polska spółka Grupa eSky.

Zakołysał wymownie ręką i umilkł. Obejrzałem go – od głowy okrytej nowym podróżnym kaskiem do podróżnych trzewików – i przekonałem się, że jest zupełnie zwyczajnym człowiekiem. I pomyślałem o Indiach, tej spotwarzonej, milczącej krainie, wystawionej na sądy i krytykę takich włóczęgów jak ten oto, o krainie, której mieszkańcy mają za wiele do czynienia, ażeby mieli znaleźć czas na odpieranie potwarzy, rzucanych na ich życie i obyczaje. Moim przeznaczeniem widocznie było pomścić Indie na trzech czwartych częściach kuli ziemskiej. Wymagało to pewnych ofiar, przykrych ofiar, bo musiałem się przedzierzgnąć także w obieżyświata w podróżnym kasku i trzewikach. Ale przez miłość dla naszego małego indyjskiego świątka² gotów byłem do tej ofiary i do wielu innych. Gotów byłem wystawiać się na wrzaskliwe oskarżenia jak dzień długi, nie znając, co to wstyd. Postanowiłem iść ku wschodowi słońca póty, póki nie dojdę do serca świata, dopóki nie poczuje pod stopami londyńskiego asfaltu.

Indie nie dały mi mandatu³. Ja sam zamianowałem się generalnym obrońcą naszego drogiego „ja”. I od tej chwili zmienił się świat w moich oczach, tak

2 Kipling był Anglo-Indusem – tak nazywano Brytyjczyków mieszkających i urodzonych w Indiach. Urodził się w Bombaju (obecnie Mumbai), przesiąkł indyjską kulturą i językami. Indie nie tylko były mu bliskie jako kraj dzieciństwa – stanowiły dlań punkt odniesienia w poznawaniu innych kultur.

3 Tutaj w znaczeniu: upoważnienia.

jak podobno zmienia się pokój w oczach umierającego człowieka, gdy nań spogląda ostatniego poranka, wiedząc, że nie zobaczy go już nigdy więcej. Wystąpiłem dobrowolnie ze szranek naszego życia i przestałem brać udział w naszych sprawach. Na brzoskwiniach ukazywały się już pączki, a z powodu wielkich śniegów spadłych w górach, ludzie przepowiadali krótkotrwałe lato. Niczym to było dla mnie. Nic mnie to nie obchodziło. Byłem już umarły, patrzyłem na dawne moje życie bez zaangażowania, bez współudziału.

Dziwne to było życie; pędziłem je przez lat siedem bez przerwy. Teraz to jedno rozumiałem, że mogę patrzeć na ludzi idących do pracy, a sam mogę spać spokojnie; że mogę wychodzić o każdej porze i siedzieć w nocy dokąd zechcę, pewny, że ranek nie powoła mnie do pracy. Zrozumiałem, z jakim wzruszeniem spogląda uwolniony więzień na mury więzienia, które opuścił i odczułem, jak głębokie jest samolubstwo człowieka nie mającego obowiązków. Mówiono, że nadchodzący rok może być rokiem nieurodzaju i klęski z powodu deszczów padających w niezwyklej porze. Byłem strapiiony. Lękałem się, ażeby deszcze nie popsowały kolei żelaznej wiodącej do morza i nie opóźniły mojego wyjazdu. Mówiono, że lato może sprowadzić choroby. I znów porwał mnie lęk, że przeznaczenie może pożałowało swego daru i zmiecie mnie ze świata, zanim zdążę zobaczyć, co jest na nim. Zaczynały się rozruchy na granicy Afganistanu, może trzeba będzie uruchomić

cały korpus i dużo ludzi padnie w bitwach, pozostawiając żałobę w wielu sercach... Albo też nieprzyjacielski statek może zagarnąć okręt wiozący moją drogocenną osobę od Jokohamy do San Francisco... I błagałem niebo, ażeby raczyło odłożyć te wszystkie klęski na później, ażeby moje plany nie zostały pokrzyżowane. Wojna, głód, zaraza były mi tak nie na rękę w tej chwili.

Zacząłem patrzeć na ludzi innymi oczyma i litować się nad nimi. Pracowali. Musieli pracować. Ja zaś byłem wielkim panem. Mogłem odwiedzać ich o każdej porze i pytać, dlaczego pracują i czy zawsze to robią? Oni odpowiadali niechętnym pomrukiem, a zazdrość widoczna w ich spojrzeniach sprawiała mi rozkosz. Nie śmiałem jednak szydzić z nich, obawiając się, ażeby przeznaczenie nie porwało mnie za kołnierz i nie pociągnęło na dawne miejsce, które jeszcze nie miało czasu ostygnąć. Naraziwszy się w ten sposób wszystkim znajomym, uciekłem do Kalkuty⁴, która – jak zobaczyłem z przykrością – pozostała, jak była, miastem, i handlowała dalej, pomimo klątwy, jaką rzuciłem na nią przed rokiem. I dziś powtarzam też same słowa przekleństwa, w nadziei, że złowonne miasto zapadnie się pod ziemię. O piątej rano, o godzinie, która nie jest ani dniem, ani nocą, trzeba tam już zapalać cygaro, przechodząc przez

4 Kalkuta, obecnie Kolkata – leżąca w delcie Gangesu stolica indyjskiego stanu Bengal Zachodni, w czasach kolonialnych (1772-1912) stolica Indii Brytyjskich.

most Howrah⁵, bo lepiej cierpieć ból głowy od ucziwej nikotyny, niż zostać zatrutym przez zabójcze wyziewy. Pewien człowiek, przyjemny zresztą człowiek, zapytał mnie, dlaczego w Kalkucie tolerowany jest skandal tłumnych wyjazdów do Śimli⁶? Odrzekłem mu na to:

– Dlatego, że ta kloaka nie jest miejscem do mieszkania dla ludzi. Cała wasza Kalkuta jest jednym olbrzymim błędem, i wy, i wasze pomniki, i wasi kupcy, i wasze wszystko!... Cieszę się, że tyle rupii wydano na budowę w Śimli i że mają wydać jeszcze więcej na linię kolei żelaznej Delhi-Kalka, ażeby ucywilizowani ludzie mogli nią jeździć wygodnie. Z chwilą otwarcia tej linii wasze olbrzymie miasto umrze i zostanie pogrzebane i zapomniane, i to będzie, jak się spodziewam, nauką dla was. Wasze miasto zgnije!

On zaś na to:

– Ludzie tu pogrzebani roztapiają się w ciągu pięciu dni na kształt tłuszczu, jeżeli deszcz pada. Rozpływają się, rozumiesz pan?

5 Słynny stalowy most na rzece Hugli (ang. Howrah Bridge) w Kolkacie (d. Kalkucie), oddany do użytku w 1874 roku.

6 Śimla – miasto w północnych Indiach, w Małych Himalajach, stolica stanu Himaćal – górski, leżący na wysokości ponad 2 tys. m n.p.m. kurort wypoczynkowy. W czasach kolonialnych od 1864 roku letnia stolica Indii Brytyjskich. Koleją corocznie przewożono tu wszystkich urzędników oraz dokumenty z Kalkuty, która ze względu na malaryczny klimat, wysoką wilgotność i mordercze upały stawała się miejscem nie do życia dla Brytyjczyków.

Odpowiedziałem mu:

– Rozpływajcie się i roztapiajcie; wszystko mi jedno. Kalkuta jest zawsze dla mnie obmierzła!

Zaprowadził mnie do ogrodów Edenu, błagając, żebym nie jechał w podróż naokoło świata w tak nie-dobrym usposobieniu. Czułem się nieszczęśliwy i chory, a on upewniał mnie, że to wszystko jest następstwem pobytu w Śimli.

Niewtajemniczeni wyobrażają sobie, że ogrody Edenu są świetnością i chlubą miasta. W rzeczywistości zaś jest to miejsce straszliwej nudy. Mieszkańcy miasta przychodzą w cylindrach na głowie i w tużurkach i przechadzają się z bolesnym wysiłkiem pod blaskiem oślepiających lamp elektrycznych, kiedy powinnyby raczej siedzieć bez wierzchniego odzienia, w koszuli, i częstować swoje małżonki piwem z lodem. Mój towarzysz, była to duszna noc marcowa, okryty był nieodzownym tużurkiem i przemawiał do mnie z wymuszonym wdziękiem:

– Możesz tu nosić okrągły kapelusz, ale nie powinie-
neś być przyjść w podróżnych trzewikach. I, na miłość Boską, chłopcze, nie pal w tej alei; wszyscy znajomi tu chodzą...

Większość ludzi siedziała poza ogrodami, w powozach, wśród wyziewów końskiego potu, odoru uprząży i lakierów; reszta włóczyła się tam i na powrót dorożkami i trójkami po zdeptanej trawie, dopóki nie wyczerpały się ich siły. Muzyka ciągle przygrywała.

– I to wszystko? – zapytałem.

– Wszystko – odrzekł mój towarzysz. – Alboż nie dosyć? Spotykamy tu wszystkich znajomych i przechadzamy się z nimi, o ile nie siedzą w powozach.

Nad naszymi głowami wisiało wełniaste, rozpalone niebo, pod nogami mieliśmy chorobliwie zieloną trawę, a omdlały powiew wietrzyka przynosił nam ze wszystkich stron wyziewy amoniaku. Naokoło otaczał nas szereg powozów i elektryczne światła raziły boleśnie oczy. Widok był dziwny i oszołamiający. Skazańcy snuli się bezustannie, a gdy który z nich cofał się w cień, dwudziestu innych zajmowało jego miejsce. Marynarze z kupieckich statków, ormiańscy kupcy, cywilni mieszkańcy Bengalów, sklepowe panny i subiekci, żydzi, posłowie, mieszkańcy Mezopotamii, byliśmy tam wszyscy ubrani w dusznym gorącu wśród wstrętnych wyziewów.

– W taki sposób bawimy się tutaj – opowiadał mi towarzysz. – Widzę już liberię wicekróla⁷. Lady Lansdowne jedzie...

Mówił to z takim naciskiem, jak gdyby czytał urzędową listę mieszkańców raju, a ja pomyślałem, że ci ludzie będą tak chodzili wciąż bez wytchnienia, dopóki nie poumierają, spragnieni, zakurzeni, smutni i wybladli.

Mając dużo czasu przed sobą, nie potrzebowałem

⁷ W czasie podróży Kiplinga wicekrólem Indii Brytyjskich był Henry Charles Keith Petty-Fitzmaurice, 5. markiz Lansdowne (1845-1927). Jego małżonką była lady Maud z d. Hamilton, córka 1. Księcia Abercorn.

się spieszyć, pomyślcie tylko, o wy! ludzie zapracowani! Wsiadłem na statek i uciekłem z Kalkuty tak zwaną „baranią pocztą”, ponieważ te statki zabierają barany i korespondencję pocztową do Rangun⁸. Na pokładzie płynęli z nami ochotnicy z Pendżabu dążący na służbę jej królewskiej mości w szeregach birmańskiej policji, a ja badałem życie pilotów, ludzi, którzy znają ziemię o tyle tylko, o ile ją widzą z wody. Życie ich ciężkie, ale posiadają niewielkie zapasy ciekawych wspomnień i jeżeli im okazywać należyne uszanowanie, raczą niekiedy zniżyć się do opowiadania. Pilot, który przesłużył na rzece sześć lat i nie umarł, ani nie stracił sił, może zarobić, o ile mi się zdaje, coś około pięćdziesięciu rupii, przeprowadzając dwa tysiące ton ładunku i paręset dusz ludzkich płynących ku ujściu rzeki z szybkością dwunastu mil na godzinę. Potem wysuwa się z pokładu na wybrzeże, niosąc twoje miłosne listy i błąka się w pobliżu ujścia, dopóki nie pojawi się nowy parowiec do przeprowadzenia w górę rzeki...

* * *

8 Rangun – największe miasto Birmy (Mjanmy), w latach 1886-2006 stolica kraju.

Na pełnym morzu w parę dni później

Daję pokój pisaniu. Nie mogę pisać, a spać się nie wstydę. Wspaniałe lenistwo ogarnęło mnie. Dziennikarstwo jest oszukaństwem, literatura toż samo, sztuka również. Indie znikły mi z oczu wczoraj i ostatni pilot zabrał ostatni mój list do więzienia, z którego się wyrwałem. Wpłynęliśmy na błękitne wody, na roztopiony szafir i lekki powiew kołysze naszym statkiem. Dziś rano widzieliśmy trzy latające ryby; herbatę dają tu nieosobliwą, ale kapitan jest miły człowiek. Czy wystarczy to, com napisał, czy mam jeszcze dodać historię profesora i jego kompasu? Dowiedcie się więcej o profesorze później, jeżeli tylko wezmę do ręki pióro. W Indiach pracował aż dziewięć godzin dziennie. Dziś w południe zainteresował się cyklonami i tym podobnymi rzeczami, zamierzał pójść do kajuty po kompas i książkę o meteorologii. Szedł już, lecz po drodze przystanął, żeby się napić.

– Kompas jest w kufierku – wyrzekł sennym głosem – ale najgorsze to, że trzeba by wyciągnąć kuferek spod łóżka... Zastanowiwszy się, widzę, że nie warto...

Powrócił na pokład i śpi teraz, o ile mi się zdaje; w głosie jego nie przebijała ani odrobina wstydu. Powinienem był go zganić, ale słowa skonały mi na ustach. Byłem jeszcze winniejszy niż on.

– Profesorze – wyrzekłem. – W Allahabadzie⁹ wychodzi głupi dzienniczek „Pioneer”. Myślą, że ja będę im posyłał listy, pisał listy własnoręczne! Czy pan możesz pojąć coś równie niedorzecznego?

– Nie wiem, czy goryczka godzi się z whisky?– wymówił profesor, sięgając po butelkę.

Nie istnieje kraj zwany Indiami; nie było nigdy dziennika noszącego tytuł „Pioneer”. To był tylko przykry sen. Jediną rzeczywistością na świecie są kryształowe tonie morskie, czysto wyszorowane pokłady okrętowe, miękkie maty, ciepły blask słońca, zapach soli w powietrzu i bezdenna, rozkoszna ociężałość.

9 Allahabad, obecnie (od 2018 roku) Prajagrađ – miasto w stanie Uttar Pradeś, jedno z najstarszych w Indiach, wspomniane już w Wedach jako Prayah, Miejsce Ofiar.

ဒုတိယစာ

List II

Rzeka „Straceńców” i złociste cudo na jej wybrzeżu
• Stwierdzenie faktu, że człowiek może iść do pagody
i nie obejrzyć jej, a może pójść do klubu i usłyszeć tam
za dużo.

Rzeka i szynkownia na wybrzeżu i oznajmienie kapita-
tana, że podróż z Kalkuty dobiegła końca i że za parę
godzin dotrzemy do Rangunu, nie robią żadnego wraże-
nia. Rzeka ma brzegi płaskie, ubogie i błotniste. Jednak
gdy nas mijały kołyszące się łodzie obładowane ryżem,
przyszło mi na myśl, że oto płynie przede mną rzeka
„Straceńców” – droga, którą tylu ludzi znanych mi prze-
płynęło w ciągu trzech lat ostatnich – przepłynęło po
to, by nigdy nie powrócić... Jeden płynął tędy do Birmy
i zginął w utarczce, rozpłątany birmańskim bułatem;
drugi dążył, żeby panować nad tym krajem w imieniu
jej królewskiej mości, lecz nie zdołał zapanować nad
górkim strumieniem i utonął razem z koniem. Inny
zginął od kuli swego służącego, inny z ręki krajowca
dakoity¹⁰, który go zastrzelił podczas obiadu, a tylu
innych otrzymało truciznę jadowitej febry jako jedyną
nagrodę za „trudy i poświęcenie nieodłączne od wojsko-
wej służby” według słów regulaminu bengalskiej armii.
Przebiegłem w myśli długi szereg nazwisk oficerów
młodych, cywilnych i policyjnych urzędników, agentów

10 Dakoita – rozbójnik.

handlowych, służących wielkim firmom i awanturników... Płynęli wszyscy przez tę rzekę i pomarli...

Obok mnie stał jeden z pracowników dążących do Nowej Birmy i opowiadał o nieskończonych pościgach za uciekającymi krajowcami, o marszach i kontrmarszach bez żadnego rezultatu, o zgonach w dzikich puszczech, o zgonach bohaterskich i rozdzierająco smutnych...

Nagle jakaś zagadkowa złocistość ukazała się na widnokręgu, jakiś cud jaśniejący w słońcu, którego rysy nie były podobne ani do muzułmańskich kopuł, ani do strzelistych świątyń Hindusów. Wznosiło się to na zielonej pochyłości, a później zarysowały się szeregi magazynów, szop i młynów. „Do krainy jakiegoż bóstwa dostaliśmy się, my, niezależni Anglicy?” – pomyślałem.

– To stara świątynia Szwedagon¹¹! – objaśnił mnie towarzysz. – Niech ją...

Ale nie godziło się przeklinać. Do tej chwili moje nieoswojone oczy nie mogły dopatrzeć różnicy pomiędzy tym krajem a innymi, lecz ta złocista kopuła mówiła wyraźnie; „Oto Birma, kraj niepodobny do żadnego innego znanego tobie...”.

– To sławna starożytna świątynia – objaśniał dalej mój towarzysz. – A teraz, odkąd otwarto drogę żelazną

11 Szwedagon, złota pagoda z Dagon, świątynia buddyjska w Rangunie (niegdyś Dagon), stolicy Birmy, która w czasach, gdy powstawała ta książka, była częścią Indii Brytyjskich.

Taungngu¹²-Mandalaj¹³, płyną tu tysiące pielgrzymów. Postradała ona podczas trzęsienia ziemi olbrzymi złoty szczyt, zwany przez krajowców *htee* i dlatego jedna trzecia jej część zasłonięta jest bambusowym rusztowaniem. Powinien być pan obejrzeć po wykończeniu. Teraz wyzłaczają go na nowo.

Nie idzie mi o to, jaka jest właściwie ta świątynia i co napisano o jej przeszłości. Tak jak stoi teraz, górując ponad wszystkim, jest dostatecznym objaśnieniem sprawy birmańskiej – dlaczego tylu młodzieńców szło tędy na śmierć, dlaczego uwijają się tu żołnierze i dlaczego roi się na tych wodach od parowców podobnych do mew czarnogrzbietych.

Przybiliśmy do nowej krainy, o której jeden z pierwszych naszych ministrów-rezydentów wyrzekł:

– To już nie Indie. Należałoby ten kraj uczynić kolonią angielską.

Jeżeli wydał on ten sąd na zasadzie delikatnego powonienia, miał słuszność; bo chociaż Kalkuta ma swoją odrębną woń, Bombaj swoją, a trzecią, odrębną i najsilniejszą Pendżab, mają jednak te zapachy pewne

12 Taungngu – przemysłowe miasto w południowej Birmie.

13 Mandalaj – obecnie drugie co do wielkości miasto w Birmie, ważny ośrodek kultu buddyjskiego. W świątyni Mahamuni znajduje się słynny, wysoki na 3,8 m posąg siedzącego Buddy, odlany – wedle podań – jeszcze za życia Gautamy Buddy, który tchnął w niego życie, obejmując go siedmiokrotnie. Pobożni buddyści wierzą, że nie jest to zwykły posąg, lecz żywy wizerunek. Miastu temu Kipling poświęcił wiersz pt. *Mandalaj*.

powinowactwo między sobą, gdy tymczasem odór Birmy jest zupełnie inny. Nie jest to odór chiński, ale nie jest i indyjski.

– Co to jest? – zapytałem.

A towarzysz mój odrzekł:

– *Napi*.

To jest ryba, którą solą wtedy, gdy już od dawna powinna być pogrzebana, a która pożerana jest przez wszystkich. Tak, nowy to kraj, kraj, w którym ludzie rozumieją, co to gra kolorów, a naród to rozkosznie leniwy. Mnóstwo pięknych dziewcząt. Najgorsza rzecz, że Anglo-Indus jest tu obcym, istotą bez znaczenia. Nie zna on języka birmańskiego – co jest niewielką szkodą – a Hindusi z Madrasu przemawiają tu do niego po angielsku. Jest ich tu znaczna liczba, a zajmują oni miejsce krajowców, nie chcących pracować i po niewielu latach pobytu powracają do rodzinnego Madrasu z pieniędzmi i z pierścieniami na palcach; skutki tego są widoczne. Madrasczyk żąda i otrzymuje ogromną płacę, i przekonuje się, że jest niezbędny.

Birmańczyk żyje wygodnie, a kobiety birmańskie zaślubiają Madrasczyków, a nawet Chińczyków, którzy im mogą zapewnić dobrobyt. Jeżeli krajowiec podejmuje się roboty, najmuje do jej wykonania ludzi z Madrasu. Skąd bierze pieniądze na ich zapłacenie, nie mogłem się dowiedzieć, ale wszyscy zgodnie twierdzili, że mieszkaniec Birmy za nic w świecie nie będzie szedł drogą uczciwej pracy. A jednak, gdyby łaskawa Opatrzność

była ubrała cię w purpurową, zieloną, bursztynową lub brunatną szatę, osłoniła ci głowę zawojem z różowego szala i dała ci za ojczyznę kraj, w którym ryż dziko rośnie, a ryby same się łowią, gniją i zostają nasolone – czy chciałbyś pracować? Czy nie wolałbyś jeść chleb na ulicy, przyglądając się wszystkiemu, co się dzieje? Gdyby dwie trzecie dziewcząt twojego kraju chichotało się wesoło, a wszystkie bez wyjątku były ładne, czy nie wolałbyś przepędzać czas na miłostkach?

Birmańczycy zajmują się tym właśnie, a Anglicy, którzy za nich pracują w Birmie, wyrażają się o jej mieszkańcach surowo. Ja osobiście lubię Birmańczyków, zaślepiony sympatią, jaką powziąłem od pierwszego wejrzenia. Po śmierci zamienię się w mieszkańca Birmy okrytego dwudziestu jardami prawdziwej jedwabnej materii (angielskiego wyrobu), z papierosem w ustach, i będę rozmawiał wesoło, żartując dowcipnie, i będę się przechadzał z dziewczyną o cerze migdałowej, która także będzie się śmiała i żartowała, jak przystało młodemu dziewczęciu. Nie będzie zarzucała na twarz zasłony, gdy na nią spojrzy mężczyzna, ani nie będzie szła za mną z tyłu podczas przechadzki, według indyjskiego obyczaju. Będzie mi patrzeć prosto w oczy, uczciwie i po koleżeńsku, a ja odzwyczaję ją od szpecenia pięknych usteczek paleniem siekanego tytoniu, zawiniętego w liść kapuściany i nauczę ją palić wykwentne papierosy najlepszego gatunku.

Szczerze mówiąc, birmańskie dziewczęta są bardzo

ładne i, zobaczywszy je, zrozumiałem lepiej to, co tu opowiadano o naszej... o naszej armii...

Opatrzność opiekuje się tymi, którzy sami sobą nie umieją się zaopiekować. Szedłem ulicą nieznanego nazwiska, znęcony barwami rozlanymi tak hojnie na całej jej długości.

Świetny koloryt ma Radżputana¹⁴ i południowe Indie, i całą tęczę jaskrawych barw można tam widzieć; ale koloryt Birmy jest zupełnie inny. U kobiet szarfy, spódnice i kaftany są w trzech różnych żywych barwach, a u mężczyzn zawoje i szaty są wprost olśniewające. Świetne barwy odcinają się jaskrawymi plamami na tle ciemnych, drewnianych domów, oprawionych w zielone liście. Nigdzie sztuka nie ma określonych przepisów, a koloryt zależy od natężenia światła słonecznego. I dlatego ludzie żyjący w mgłę londyńskiej wierzą jeszcze w bładozielone i ponuro czerwone odzienia. Dajcie mi kolor lila, różowy, czerwony, lapis lazuli i olśniewającą purpurę pod jaskrawym światłem słonecznym, które łączy i łagodzi wszystko. Zastanawiałem się nad tym właśnie i nad tym, że lud tamtejszy obchodzi się łagodnie ze zwierzętami, gdy człowiek, jadący śmiesznie małym powozikiem, zastosowanym do wzrostu tłustego, birmańskiego kuca, zabrał mnie z sobą

14 Radżputana – dawna nazwa środkowych i północno-zachodnich Indii (obecnie obszar ten pokrywa się w znacznej części z Radżasthanem).

na przejażdżkę i pojechaliśmy ku angielskiej dzielnicy, gdzie sahibowie¹⁵ przemieszkują w ładnych domkach, zbudowanych jakby z deseczek od cygarowych pudełek. Zdawałoby się, że mogłyby rozsypać się od jednego uderzenia i dlatego zbudowano je na nogach. Domy nie są podobne do koszar, a nierówny grunt i zakurzone, czerwone drogi nie przypominają wcale Indii.

Kucyk zawiózł nas do ogrodu, utkanego małymi jeziorkami, nasadzonymi mniejszymi jeszcze wysepkami, a po wodzie pływali w łódkach sahibowie, strojni we flanelowe garnitury. Poza parkiem stały klasztoriki pełne wygolonych ludzi, przyodzianych w złocisto-brunatne szaty, którzy wyrzekli się świata, rozkoszy i szatana, i spędzali życie na wesołej gawędce; w pobliżu stały trzy małe dziewczynki ze szkoły, jakby zeszyły tylko co ze sceny po przedstawieniu *Mikada*¹⁶, a najdziwniejsze było to, że wszyscy się śmiali – śmiali do błękitnego nieba dlatego, że było błękitne, do zachodzącego słońca i do siebie dlatego, że nie mieli nic innego do roboty, a małe, tłuste dziecko śmiało się najgłośniej.

Pagoda była niedaleko, cudowna i błyszcząca tak, jak w pierwszej chwili, gdyśmy ją ujrzeli z rzeki; lecz z bliska widziane jej kształty zmieniły się, odsłaniając

15 Sahib – tytuł używany w Indiach w stosunku do osób posiadających wysoką pozycję społeczną. W czasach kolonialnych – w stosunku do Europejczyków.

16 *The Mikado* – tytuł sztuki Gilberta i Sullivana bardzo popularnej w tamtym czasie w Anglii.

w pośrodku gniazdo nielicznej liczby małych pagód stojących w jej obrębie. Ukazały się też dwa olbrzymie gipsowe tygrysy (według birmańskich religijnych przepisów) stojące na wzgórzu – strażnicy strzegący największej świątyni w Birmie. Naokoło roiły się tłumy wesołego ludu w pięknych szatach, a wszyscy szli po kamiennych schodach, które pomiędzy tygrysami prowadziły do szczytu. Osobliwa była budowa tych schodów. W większej części zbudowane były jak tunel, a raczej jak kolumnada, bo widać było złożone, drewniane filary wśród mrocznego korytarza. Późno już było po południu, gdy doszedłem do tego dziwnego miejsca i zobaczyłem, że chcąc się dostać do pagody stojącej na szczycie wzgórza, trzeba przebyć długie bez końca schody.

Pobył mój w Rangunie liczył się na godziny, więc można mi darować, że stawałem dęba z niecierpliwości na dole schodów, nie mogąc utworzyć sobie dokładnego, zupełnego i ścisłego wyobrażenia o wszystkim, co było do widzenia. Znaczenie trzech tygrysów-strażników, wewnątrz głównej świątyni, mnóstwo mniejszych – wszystko to było dla mnie niedostępne i niezrozumiałe. Nie wiedziałem, dlaczego ładne dziewczątka sprzedawały małe laseczki i kolorowe świece do postawienia przed wyobrażeniem Buddy. Wszystko było niezrozumiałe, a nie było nikogo, kto by mi to wytłumaczył. Tyle tylko mogłem się dowiedzieć, że niezadługo wielki, złożony *htee*, zniszczony podczas trzęsienia ziemi, ma być

ustawiony na dawnym miejscu, z wielką uroczystością i śpiewami, i że połowa ludności Górnej Birmy miała się zebrać na tę ceremonię.

Przeszedłem środkiem pomiędzy dwoma olbrzymimi zwierzętami, potem przez czysto wymyte podwórze do bramy o spłaszczonym wierzchołku, przy której trzymali straż kulawi, niewidomi, trędowaci i garbaci. Gdym ich mijał, czepiali się z jękiem i piskiem mego ubrania, ale tłum, niknący na łagodnej pochyłości schodów, nie zwracał na nich uwagi. I wszedłem w półmrok bardzo długiego krużganku, wyłożonego kamieniami, wypolerowanego stopami ludzkimi przechodniów; pod ścianami jego stały rzędami kramiki.

W najdalszym końcu tego krużganka widać było skrawek wieczornego nieba i tam zaczynały się drugie, nierównie więcej strome schody, prowadzące już prosto do Szwedagonu, jak nazywają tę świątynię. Zatrzymałem się tam; przede mną był wspaniały przedsionek, w czystym stylu birmańskim, ozdobionym chińskimi napisami, i pomyślałem, że nic już piękniejszego nie zobaczę, chociażbym poszedł dalej. Nie mogłem pojąć, jakim sposobem ten naród może wydawać różbójników, o których się czytuje w dziennikach. I ujrzałem wtedy oblicze, które było dla mnie objawieniem. Podbródek, policzki, usta, szyja modelowane według starorzzymskiego typu, a ponad tą doskonałością linii tkwił nos mongolski, wąskie czoło, błyszczące skośne oczy. Przypatrywałem się bacznie temu człowiekowi,

a on obejrzał się także ze zdumiewająco zuchwałym wyrazem, wykrzywiając szyderczo usta. Potem odszedł z miną wyzywającą, a ja zostałem wzbogacony jednym więcej wspomnieniem i obserwacją.

Ten człowiek wydał mi się typem dakoity. Przy sposobności potrafiłby ukrzyżować...

Potem brunatne dzieciątko zjawilo się na ręku matki i roześmiało się, a ja zapragnąłem uścisnąć je za rączkę i wyszczerzyłem też do niego zęby. Matka podniosła w górę maleństwo i roześmiała się, i dziecię się śmiało, i wszyscy się śmiali, bo zdaje się, że już taki zwyczaj w tym kraju, a potem zeszedłem z powrotem ciemnym już teraz kruzgankiem, w którym mrugały tylko lampy właścicieli kramików i tłumy ludzi śmiały się do siebie. Birmańczycy muszą być ludem o łagodnych obyczajach, bo pozostawiają trzyletnie dzieci pod opieką glinianych lalek lub tygrysów.

W klubie spotkałem znajomego z Pendżabu i rzuciwszy się w jego potężne objęcia, zażądałem pożywienia i rozrywki. W Pegu Club pełno było ludzi jadących w górę rzeki lub przybywających stamtąd, a rozmowy były echem podbojów posuwających się ku północy. Wyprawa i podbój Birmy są najmniej znane i oceniane ze wszystkich naszych przedsięwzięć wojennych w ostatnich czasach.

– Czy widzisz tego człowieka tam w rogu? Miał on rozciętą głowę w Zoungloun-goo. Niesłychanie odporny osobnik... Ten chłopiec obok niego cały rok

spędził na uganianiu się za dakoitami. Rozproszył bandę Boh-Manga i schwycił samego Boha, jak wiadomo. Tamten znów jedzie do kraju za urlopem, bo jest chory; tkwi w nim jakiś kawał żelaza. Spróbuj no naszej baraniny, upewniam cię, że w całym Rangunie jedynie u nas w klubie można jadać baraninę. Nie przemawiaj tylko krajowym językiem do naszych chłopców. Wszyscy są z Bombaju lub Madrasu. Tam w pierwszym szeregu stoi paru Birmańczyków służących, ale prawdziwy Birmańczyk nie pracuje nigdy. Woli być po prostu niewinnym daku.

– Czym?

– Lubym dakoitą. Nazywamy ich *daku* przez skrócenie, tak sobie, pieśzotliwie. Weź ryby. Tak, Rangun ma swoje zalety. Płaci się tu po książęcemu: niewielki dom z meblami sto pięćdziesiąt rupii. Płaca służby – dwieście lub dwieście pięćdziesiąt. Razem czterysta. Mój drogi chłopcze, kominiarz tu nie weźmie mniej niż dwanaście do szesnastu rupii miesięcznie i w takim jeszcze razie nie ogranicza się do jednego domu. Daleko gorzej tu niż w Kwecie¹⁷. Każdy, kto jedzie do Niższej Birmy, a liczy, że się utrzyma ze swojej pensji, jest głupcem.

Głos z drugiego końca stołu rzekł:

– Diabelny głupiec! Co innego w Górnej Birmie, gdzie można dostać posadę i na koszt podróży.

17 Kweta – miasto w zachodnim Pakistanie, stolica prowincji Beludżystan.

Inny głos, wrywający się z ogólnej rozmowy, dodał:

– Nie rozpisywali się nad tym w dziennikach, ale mówię wam, że wcale nie z taką łatwością zdobyliśmy ten fort, jak się potem zdawało. Boh Gwee złapał nas w istną pułapkę i w chwili, gdyśmy ścisnęli szeregi, nasi ludzie byli już dobrze przerzedzeni od frontu i od tyłu. Te walki w dżunglach diabła warte i tyle! Proszę, dajcie mi jeszcze lodów...

Potem powiedzieli mi o śmierci mego szkolnego kolegi, zabitego na szanłach reduty Minhla¹⁸, a czy kto jeszcze pamięta utarczkę pod Minhla, którą otworzył się trzeci bal w Birmie?

– Byłem blisko niego – mówił jakiś głos. – Umarł mi na ręku. A o ile mi się zdaje, lecz nie jestem pewny... w każdym razie wiem, że śmierć miał lekką. Dobry był chłopiec...

– Dziękuję wam – powiedziałem. – Sądzę, że czas mi już wyjść.

I wyszedłem w duszną noc, a w głowie dzwoniły mi opowiadania o bitwach, morderstwach i nagłych śmierciach. Uchyliłem rożek zasłony, kryjącej Górną Birmę i byłbym dał dużo za to, żeby popłynąć w górę rzeki i zobaczyć mnóstwo dawnych przyjaciół, a teraz wyniszczonych wojną i pobytem w dżungli żołnierzy. Całą noc śniły mi się nieskończone schody, po których zstępowały tysiące pięknych dziewcząt ubranych w piękne

18 Minhla – miasto w środkowej Birmie.

szaty tak jaskrawe, że aż raziły mój wzrok. Na górze, na samym szczycie, wisiał złoty demon, u stóp schodów leżał z twarzą zwróconą ku niebu biedny mój kolega, poległy pod Minhla, a gromada brodatych oberwańców, ubranych w *khaki*¹⁹ trzymała przy nim straż.

19 Mundury w kolorze khaki – *khaki drill* lub KD – zostały wprowadzone w armii brytyjskiej w Indiach w 1848 roku. Kolor *khaki* jest fachowo definiowany jako płowokasztanowocynamo-nowoziemistożółty (X11).